

# Tadeusz Szczerbic

---

## Deus mirabilis, fortuna variabilis, czyli sen o sędziowskim egzaminie

---

Palestra 37/9-10(429-430), 107-110

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# WSPOMNIENIA

Tadeusz Szczerbic

## **Deus mirabilis, fortuna variabilis, czyli sen o sędziowskim egzaminie**

Niespokojny rok 1939 zaznaczył się w moim życiu osobistymi znaczącymi wydarzeniami, które wywołała zmiana miejsca pracy i pobytu. Najprzód przeniesiono mnie – aplikanta sądowego – z Sądu Grodzkiego, Oddziału II i Samochodowego, do prokuratury Sądu Apelacyjnego w Warszawie, a wkrótce potem wezwano mnie na ćwiczenia wojskowe do macierzystego 19. Pułku Artylerii Lekkiej w Nowej Wilejce. Nie dość tego, ledwie z nich powróciłem w końcu lipca, a już w dniu 23 sierpnia 1939 r. otrzymałem kartę mobilizacyjną i natychmiast wyruszyłem w tę samą drogę. Byłem już wówczas aplikantem, od 1 sierpnia, Sądu Okręgowego w Siedlcach, poza stolicą, ale za to, w zamian za „banicję”, miałem etat z pensją miesięczną 130 zł. Radość z promocji psuł mi żal za utraconym ekskluzywnym środowiskiem prokuratury Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Pamiętam doskonale prokuratora Stefana Szydłowskiego i jego zastępcę, wiceprokuratora Mirzę Sulkiwicza oraz wiceprokuratorów: Grzebalskiego, Izdebskiego, Wolińskiego. Moim bezpośrednim przełożonym był wiceprokurator Prachtel-Morawiański, tajemniczy i milczący, czego wymagały szczególnie, spełniana przez niego rola, i charakter

pracy. Uchodził za „lwa salonów” i ulubieńca kobiet, co uzasadniała jego piękna sylwetka i nienaganne maniery. Moim cicerone w pracy i opiekuńczym duchem była Władysława Roszkowska. Tak ją, jak i wszystkich prokuratorów Sądu Apelacyjnego, ze wzruszeniem i wdzięcznością wspominam.

Owe peregrynacje, szczególnie natury wojskowej, przerwały ciągłość przygotowań do egzaminu sędziowskiego, jaki wypadł latem 1941 r. Mobilizacja zachwiała nieco moją wiarę w jego realność, lecz opinia wygłoszona przez pewnego pasażera pociągu pośpiesznego z Warszawy do Wilna, którym jechałem do pułku, przekreśliła ją, przesuwając w jakąś nieokreśloną i daleką przyszłość.

Do dyskusji, którą prowadziłem w przedziale z niezwykle rozmownym mężczyzną w średnim wieku, ziemianinem, sądząc z powierzchowności i stylu bycia, dołączył Żyd w stroju wskazującym na przestrzeganie reguł Zakonu. Zakwestionował on wyrażoną przeze mnie myśl, iż Hitler posługuje się jedynie metodą szantażu, ale wojny nie rozpocznie, i stwierdził, że ja swoje przekonanie opieram na założeniu, iż Hitler jest normalnym, zdrowym człowiekiem, podczas gdy jest to chory

psychicznie osobnik, który dokona jednak napaści na Polskę, a wojna będzie długa i okrutna. Oświadczenie to, wypowiedziane z powagą i spokojem, zrobiło na mnie silne wrażenie. Usiłowałem wydobyć ze Starozakonnego dodatkowe wyjaśnienia, ale spełzło to na niczym. Wysiadł w Wilnie i znikł w tłumie wraz z dwoma młodymi Żydami, którzy stawili się na jego spotkanie.

Dotarłem do rejonu mobilizacyjnego, w którym nowo przybywający rezerwiści otrzymywali określony przydział i gdzie formowano jednostki – baterie, dywizjony i pułki. Otrzymałem funkcję oficera łącznikowego i nocą, po załadowaniu do pociągu ludzi, dział i koni, ruszyliśmy, aby o świcie rozstać się, na stacji kolejowej w Bednarach pod Łowiczem, z pociągiem i marszem konnym dotrzeć w rejon lasów Sulejowskich. Na nasze stanowiska leśne pod Piotrkowem Trybunalskim uderzyły w dniu 4 września 1939 r. czołgi niemieckie i po kilkugodzinnej bitwie przełamały je. Odwrót odbywał się wśród ustawicznych ataków lotnictwa, powodujących duże straty, tak że dalszy ruch oddziałów odbywał się nocami. Ja znalazłem się z częścią 19. Dywizji Litewsko-Białoruskiej (nazwanej tak od czasu dowodzenia nią w czasie kampanii 1919–1920 r. przez gen. dyw. Edwarda Rydza-Śmigłego, kiedy to otrzymała krzyż *Virtuti-Militari*) na rozdrożach Kielecczyzny, dotarłem do Gór Świętokrzyskich i w dniu 3 października 1939 r., w rejonie podnóża Łysicy, pod wsią – Święta Katarzyna, zdjąłem mundur. Znamienne nam się wydało, że tuż przed dokonaniem tego trudnego aktu, przekroczyliśmy rzeczkę o nazwie Czarna Woda, kojarząc mimowolnie

nazwę z naszym losem. Ani nasz mjr Tadeusz Stefanowicz, ani my – młodszy oficerowie, porucznicy: Borzobohaty, Gajewski, Wróblewski i ja, nie dostrzegaliśmy możliwości dalszej walki. Na plebanii w Dębnie, u ks. Józefa Kotwickiego, zdeponowaliśmy broń i mundury, konie natomiast oddane zostały rolnikom. Działa już wcześniej, po bitwie pod Suchedniowem, uległy demonstazowi i zostały zakopane.

Dramat klęski musieliśmy przeżyć, bo życie stawiało swoje wymagania. Trzeba mu było nadać sens stosowny do nowej sytuacji. W listopadzie 1939 r. zameldowałem się u prezesa Sądu Apelacyjnego – Kazimierza Rudnickiego, aby potwierdzić swoją obecność w rejestrze aplikantów sądowych i zapewnić ciągłość służbową, a jednocześnie zwierzyłem mu się, że chcę pozostać z dala od struktur okupacyjnej władzy do czasu jej ustąpienia. Spotkałem się ze zrozumieniem i otrzymałem, w swoim odczuciu, coś jakby błogosławieństwo – prezes życzył mi szczęścia i wyraził gotowość okazania pomocy w przyszłości.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że moje dalsze przygotowywanie do zawodu i egzamin sędziowski oddalają się, że życie moje utraciło stałe podłoże. W dalszym ciągu odpychałem myśl o długoletnim konflikcie zbrojnym i wierzyłem w szybkie jego zakończenie, ponieważ przekonanie o potędze militarnej i zasobach materiałowych Wielkiej Brytanii i Francji tkwiło we mnie, tak jak i w społeczeństwie, bardzo głęboko, pomijając już popularne hasło „im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej”, którym pocieszały się tysiące Polaków.

Jak wielu młodych rodaków, a zwła-

szcza inteligentów i oficerów, rozglądałem się za człowiekiem, który mógłby wprowadzić mnie w szeregi polskiej organizacji konspiracyjnej. Udało mi się to w marcu 1940 r. Wstąpiłem do Narodowej Organizacji Wojskowej okręgu kieleckiego i podjąłem się organizowania jej struktur na terenie powiatów: sandomierskiego i stopnickiego; z czasem mianowano mnie komendantem podokręgu, a wreszcie, w ramach scalania organizacji podziemnych, w lipcu 1942 r., stałem się członkiem Armii Krajowej z przydziałem do komendy Inspektoratu Sandomiersko-Opatowskiego na stanowisko adiutanta. Charakter działań, zmienność miejsc pobytu, zajęcia terenowe i stała dyspozycyjność w służbie, sprawiały, że często nawiedzająca mnie myśl o konieczności uzupełniania lektur z zakresu prawniczego materiału stała się abstrakcją. Dopiero ustąpienie okupanta z terenu Kielecczyny w efekcie „zimowej ofensywy” wojsk radzieckich i rozwiązanie Armii Krajowej rozkazem Wodza Naczelnego z dnia 19 stycznia 1945 r. stworzyły nową sytuację i możliwość podjęcia pracy w sądownictwie w marcu tegoż roku. Ziemię rodzinną – Kielecczynę – opuściłem, uchodząc przed uwięzieniem przez „władzę ludową”, doświadczony kilkudniowego pobytu w piwnicy Urzędu Bezpieczeństwa. Schroniłem się w Łowickiem, we wsi Niedźwiada, a w Sądzie Grodzkim w Łowiczu wznowiłem staż aplikanta pod życzliwą osłoną kierownika sądu – Józefa Soroki, i sędziego Oleszkiewicza, człowieka o pięknej i szlachetnej sylwetce, ożywającego w mej wyobraźni postać z poematu Mickiewiczowskiego *Oleszkie-*

*wicz*. Tu zetknąłem się z aplikantami: Juliuszem Boskim, Mieczysławem Kuterankiewiczem i Guzkiem, imienia nie pamiętam.

Egzamin sędziowski wyznaczono na czerwiec 1945 r. Chciałem do niego przystąpić i każdą wolną chwilę poświęcałem nauce. Jednocześnie trwała wojna. Dzień jej zakończenia żołnierze sowieccy obchodzili w huku wystrzałów i oparach alkoholu. A potem jeszcze trzeba było przeżyć dzień przejazdu Stalina na konferencję w Poczdamie, kiedy to usunięto ludność z domów przy ulicach sąsiadujących z torami kolejowymi i wzdłuż nich, aż do krańców miasta. Ubóstwo mieszkańców było widoczne, a uchodźcy z innych terenów, wśród nich i ja, znosili wręcz niedostatek.

Nadszedł dzień egzaminu – słoneczny i opóźniony o cztery lata przez okupację niemiecką w Polsce. Dojechałem do Łodzi sowieckim wozem ciężarowym na „łebka” i tu urwała się moja dobra passa. Przepadłem na egzaminie. Zespołowi egzaminatorów przewodniczył sędzia Opęchowski, przedwojenny, z Apelacji Warszawskiej. Zażenowany do głębi, bo ewidentnie wykazałem ignorancję, przeżywałem swoją klęskę przez wiele dni. A nadto rozchorowałem się, a przede mną pojawił się nowy termin egzaminu – wrzesień 1945 r. I chociaż wydawało mi się, że trzy miesiące na przygotowanie to mało, zdecydowanie naginałem swój umysł i ciało do wysiłku i przełamania przeciwności.

Nowa próba przyniosła pomyślność. Areopag egzaminatorski uznał moje wiadomości za wystarczające, choć ja sam czułem ich niedostatek. W każdym

razie tym faktem zamknąłem swoją konspiracyjną „epopeję” i dołączyłem do kręgu tych szczęśliwców, którzy osiągnęli awans szybciej i bez upadków.

Jesienią 1945 r. zostałem mianowany podprokuratorem Sądu Okręgowego

w Łodzi i znowu, ku mej radości, znalazłem się w kręgu oddziaływania prokuratora Sądu Apelacyjnego – Stefana Szydłowskiego. Był to błogosławiony dar moich rodzinnych duchów albo *sic erat in fatis!*